

### III. O „logicznej możliwości zupełnego braku istnienia”

Każdy człowiek będzie zaszokowany, kiedy mu się powie z (dobrze) udaną powagą, że wprawdzie ogólnie przyjmuje się, iż bądź te, bądź owe osoby istnieją oraz że to to, to owo istnieje, ale że fakt ten jest czysto przygodny. Bo tak jak nie było żadnej *konieczności*, by ktoś z nas przyszedł, jak się to mówi, na świat, tak można też ów brak konieczności istnienia odnieść do kogokolwiek i czegokolwiek bez wyjątku, w efekcie dopuszczając możliwość zupełnej pustki egzystencjalnej.

Oto jak można jednak zaprezentować tę dla większości ludzi niewiarygodną tezę. Mamy prawo ogólne głoszące, iż „jeżeli wszystkie obiekty o charakterystyce *F* mają też charakterystykę *G*, a któryś obiekt jest *F*, to jest on też *G*”. Z tego prawa wynika, iż *nie istnieją* takie obiekty *F*, które by nie były *G*. *Wszystkie* takie zdania o *nieistnieniu* mogą być prawdziwe. Na jakiej zasadzie? Otóż dzięki temu mianowicie, że ich zaprzeczenie głosi, iż *istnieją* np. obiekty *F*, które nie są *G*; do czego można dodawać, na analogicznej zasadzie, i to bez ograniczeń, iż istnieją obiekty *H*, które nie są *I*, itd. Wszystkie zaś takie zaprzeczenia, mające w rezultacie charakter *pozytywno-egzystencjalny*, muszą się okazać w pewnym przypadku fałszywe. W jakim? A no po prostu w tym przypadku, kiedy już obiekty z początkową charakterystyką, a więc zarówno obiekty *F*, jak obiekty *H* itd., w ogóle nie istnieją (do czego przecież mają prawo tak samo, jak Paryż w roli stolicy Polski, a zresztą w dowolnej roli, także w roli stolicy Francji, miał i ma prawo nie istnieć).

Tak rzecz przedstawiał, by odwołać się tu do wielkiego autorytetu, Russell (1919); zaliczał on naturalnie, i to *explicite*, do pełnego asortymentu ewentualnie nieistniejących obiektów — również Boga. Podobnie podchodził do rzeczy np. Smart (1955); mówił on, że *faktyczne* istnienie rzeczy przygodnych jest wprawdzie niezłym punktem wyjścia dla pomysłów teistycznych, lecz że wnioskowanie z tego przygodnego istnienia i z okoliczności, jakie mu towarzyszą, jakoby istniał Bóg, nie ma mocy logicznej. Wcześniej Leibniz (1969: 225–228) głosił (jak już o tym wspominałem) możliwość nieistnienia świata, z tą różnicą, że przyjmował on jednak niezależne od tego istnienie Boga wraz z jego „ideami”. Te poniekąd „pragnęły” realizacji (podobnej metafory Leibniz rzeczywiście używał) i doczekały się jej; wszelako doczekały się jej, według Leibniza, wyłącznie na mocy zasady „moralnej”: doskonałość Boga była nie do pogodzenia z, by tak rzec, „jego odmową udzielenia (niezbędnej) pomocy” we „wcieleniu się owych idei w życie”; poza tym woła Boska nie była, jego zdaniem, w żaden ostateczny, bezwarunkowy sposób skrępowana. To właśnie dlatego Leibniz na serio stawiał pytanie dziwaczne w odczuciu zwykłych

ludzi (i nie tylko takich całkiem zwykłych ludzi; choć na pewno nie w odczuciu Russella): „dlaczego [w ogóle] coś istnieje, raczej niżby miało nie istnieć nie?”. (O tym pytaniu powiem coś dodatkowo w *Aneksie*, zob. p. 1.)

Może jednak Russelloska (lub Leibniziańska) wizja możliwości całkowitego braku istnienia jest w ogóle bezprzedmiotowa, może nie da się ona ugruntować logicznie?

Odpowiedź brzmi, że, po pierwsze, da się ona jednak w pewien sposób logicznie ugruntować, ale że, po drugie, da się ona tak ugruntować tylko pod warunkiem konstruowania zdań w obrębie rachunku o skrajnie ubogich prawidłowościach, tzn. rachunku poddanego minimalnym zakazom, a właściwie jednemu zakazowi.

Jakieś zakazy, przypomnijmy, są konstytutywne dla wszelkich rachunków i dla wszelkich systemów zdań. Są one bowiem konstytutywne po prostu dla mowy jako takiej, od samych jej rudymentów poczynając. To mowa bowiem sama w sobie jest tym, co nazywamy „postępowaniem według reguł”, czyli postępowaniem niedowolnym, inaczej: postępowaniem uwzględniającym pewien zakaz lub pewne zakazy. Te ludzkie reguły mogą się potem różnorako rozrastać, obejmując na przykład wzory zachowania się społecznego, które też nazywamy właśnie „regułami” lub, powiedzmy, „normami”. Ale wszystkie takie zjawiska pozostają w świecie mówiących i ich *specyfiki mownej* oraz sprowadzają się w *ostatecznym rozrachunku* do działań mownych. Trzeba jednak pamiętać również o tym, że *najgłębszym źródłem* „zakazów” realizowanych w regułach, które składają się na język, jest wykraczająca poza język *wiedza* z konstytutywnym dla niej kontrastem kontradiktorycznym (który nie jest już żadną „regułą”, lecz fenomenem, od którego się *wszystko* zaczyna, fenomenem identycznym z ‘wiedzą’).

O jakie zakazy lub o jaki zakaz nałożony na budowę zdań chodzi w obrazie, jaki miał przed sobą Russell? W gruncie rzeczy wszystko w tym zakresie redukuje się do prawa sprzeczności i będącego poniekąd jego mutacją prawa tożsamości, czyli właśnie tego, co ucieleśnia wspomniany przed chwilą konstytuujący wiedzę kontrast kontradiktoryczny. Przyjmowane ogólnie prawo tożsamości polega na tym, że się wyklucza istnienie obiektu, który by nie był równy samemu sobie. Dyskwalifikuje się zatem z góry, w tak zredukowanym projekcie, *tylko* formułę  $\exists x \ x \neq x$  mówiącą o istnieniu co najmniej jednego obiektu *nierównego* sobie samemu. Negacyjny partner tej formuły w odpowiedniej obejmującej ją alternatywie tautologicznej, a zatem partner o postaci  $\sim \exists x \ x \neq x$  („nie istnieje taki  $x$ , że  $x$  nie jest równy sobie”), jest „zawsze prawdziwy”, czyli jest realizowany w sposób konieczny.

Biorąc więc pod uwagę frazę *obecny łysy król Francji, który nie jest łysy* z jej normalnym rozumieniem, orzekamy bez zwłoki, że *taki*  $x$  nie istnieje, bo nie jest równy samemu sobie, nie mając włosów na głowie i mając je jednocześnie. Zupełnie

inaczej będzie z frazą *obecny łysy król Francji* wyprowadzoną ze zdania *Obecny król Francji jest łysy.*: nie zostanie ona w ten sposób zdyskwalifikowana. Będziemy wprawdzie musieli powiedzieć, że nie istnieje taka osoba, a przytoczone zdanie jest fałszywe, ale tylko na tej podstawie czysto faktualnej, że współczesna Francja nie jest królestwem. Natomiast (zgodnie z ujęciem Russella w postaci jego teorii deskrypcji, która jest poniekąd niezależna od jego tezy o możliwości totalnego nieistnienia) zdanie *Obecny król Francji nie jest łysy.* może być rozumiane na tej samej podstawie jako właśnie *prawda*: prawda o nieistnieniu tak scharakteryzowanej osoby. (Osobną sprawą są „obiekty” takie jak „Cezar będący liczbą pierwszą”. Można je, zgodnie np. z propozycją Husserla, dyskwalifikować jeszcze wcześniej, bo na poziomie poprawności *gramatycznej* odpowiednich fraz; alternatywnie, można wprowadzić ich interpretację sprzecznościową, która upodobni obiekt w rodzaju „Cezara-liczby” do odpowiednika frazy *obecny łysy król Francji, który nie jest łysy.* Nie będę tu dyskutował tej kwestii.)

Otóż w takim, jak zarysowany, układzie nie możemy wnioskować, ani że istnieje jakiś obiekt (czy też stan rzeczy) *równy* sobie samemu (z wykluczeniem nieistnienia takiego obiektu), ani że taki obiekt nie istnieje (z wykluczeniem istnienia takiego obiektu).

Bo kiedy z jedynej rzeczy zagwarantowanej, a mianowicie z nieistnienia jakiegokolwiek obiektu *nierównego* sobie samemu, zechcemy wywnioskować *istnienie* jakiegoś obiektu, oczywiście obiektu *równego* sobie, to będziemy chcieli, by połączenie poprzednika, czyli tezy o nieistnieniu obiektu *nierównego* sobie, z *negacją istnienia* owego obiektu postulowanego, obiektu *równego* sobie, było **s p r z e c z n e z czymś prawdziwym *innym niż sama w sobie negacja poprzednika.***

Prosty przykład wnioskowania może tu być pomocny. Wyjdźmy od zdania warunkowego „jeżeli jej pozwolą, przyjdzie”. O co w tym zdaniu chodzi? Chodzi o to, że coś prawdziwego, co jest jednakże czym *innym niż sam przez się brak udzielonego wiadomej osobie pozwolenia na przyście,* jest sprzeczne z kombinacją obecności tego pozwolenia i jej *nieprzyścia.* Dowiedziawszy się o obecności pozwolenia a mając zaufanie do całości wypowiedzi warunkowej, wnioskujemy o przyściu wiadomej osoby (nie jest to to samo, co po prostu przyjęcie informacji o samym fakcie jej przyścia we właściwym przedziale czasowym).

Wróćmy teraz do naszej sprawy istnienia jakiegokolwiek obiektu *równego* sobie samemu. Otóż jedyną ewentualną prawdą sprzeczną z negacją jego istnienia (na tle niepodważalnego nieistnienia obiektów *nierównych* sobie samemu) jest właśnie teza o *istnieniu* jakiegoś obiektu *równego* sobie, jaką mamy na widoku. Kiedy zaś z jedynej rzeczy zagwarantowanej, a mianowicie z nieistnienia jakiegokolwiek obiektu *nierównego* sobie samemu, zechcemy wywnioskować *nieistnienie* żadnego obiektu *równego* sobie, to nasunie się nam analogiczne wnioskowanie: będziemy symetrycznie chcieli, by połączenie poprzednika, czyli tezy o nieistnieniu obiektu

nierównego sobie, z *negacją owego nieistnienia* obiektu równego sobie, czyli z odpowiednią tezą pozytywno-egzystencjalną, było sprzeczne z *czymś prawdziwym innym niż negacja poprzednika*. Ale jedyną ewentualną prawdą sprzeczną z ową *negacją* nieistnienia żadanego obiektu jest właśnie sama *teza o nieistnieniu* żadnego obiektu równego sobie.

Oczywiście, dwa przedstawione (suponowane) wnioski są bezpośrednio sprzeczne wzajemnie. A więc obu naraz przyjąć nie można. Ale żadnego w y b o r u nasz skrajnie ascetyczny *rachunek* nie narzuca. *W tym rachunku* nie ma zakazu na żadną z wykluczających się formuł, o jakich mówiliśmy. Z  $\sim \exists x x \neq x$ , czyli z braku obiektów nierównych sobie, nie wynika analitycznie ani  $\exists x x = x$ , czyli istnienie jakichś obiektów (równych sobie), w przeciwieństwie do ich nieistnienia, ani przeciwstawne mu  $\sim \exists x x = x$ , czyli ich nieistnienie w przeciwieństwie do ich istnienia. Obok jedynej tezy wyjściowej  $\sim \exists x x \neq x$  możemy śmiało postawić tezę o istnieniu jakichś obiektów i stanów rzeczy (oczywiście identycznych ze sobą), ale równie śmiało możemy postawić tezę odwrotną, tzn. tezę o „nieistnieniu niczego”.

To jest cała treść konstrukcji myślowej Russella.